Rozmowa z Krzysztofem Kozłowskim

Ówczesne reguły gry

Joanna Podsadecka Twierdzi pan, że nie umie opowiadać o Jerzym Turowiczu. Dlaczego mówienie o nim przychodzi panu z trudem? Przecież znał go pan doskonale.

Krzysztof Kozłowski O ludziach, których znało się dobrze, bardzo trudno mówić. Im byli bliżsi, tym trudniej. Długo mógłbym opowiadać o tych, których znałem przelotnie.

J.P. W filmie *Zwyczajna dobroć* zapytany o Jerzego Turowicza, powiedział pan: „Pan Bóg chyba obdarzył go szczególnymi talentami. Talentem bycia, bycia sobą. Bycia kimś nawet wtedy, kiedy nie przemawia, nie mówi, nie pisze. Spróbujcie z nim pobyć, to się przekonacie". Pan przebywał z nim na co dzień, przez ponad 40 lat.

K.K. Całe moje dorosłe życie było ukształtowane w dużej mierze przez „Tygodnik Powszechny", a właściwie przez Turowicza. I dlatego od ponad dziesięciu lat tak mi go brakuje.

Przyszedłem do „Tygodnika" w 1956 roku (wtedy powstała tak zwana druga redakcja). Zdecydowałem się na ten krok bardzo szybko, mimo że jako doktor filozofii prawa prowadziłem zajęcia na uniwersytecie w Lublinie i jakoś tam żyłem. Redagowanie „Tygodnika" w PRL-u to była prawdziwa szkoła życia, mieliśmy często pod górkę, ale gdy myślę o wymarzonym miejscu pracy, lepszego od lokalu przy Wiślnej 12 nie potrafię sobie wyobrazić. Być zastępcą Jerzego Turowicza… Niezasłużone, wielkie szczęście.

Ludzie tym się różnią od siebie, że jedni potrafią wychwycić, co istotne, a drudzy bawią się bzdurami i pozorami – upraszczając bardzo. Ale jeżeli to uproszczenie ma jakikolwiek sens, to Jerzy Turowicz należał do tych, którzy potrafili

zrozumieć, co jest w danym momencie istotne, a co rzeczą błahą, przelotną, niewartą uwagi. Miał niebywałą intuicję w stosunku do ludzi. Potrafił rozróżnić tych wartościowych od mniej wartościowych, mówiąc delikatnie.

J.P. Czesław Miłosz pisał w 1997 roku: „Trzeba przypomnieć coś, czego młodzi czytelnicy sobie nie uświadamiają. W 1945 roku zadeklarować się jako katolicki publicysta, a więc osobnik nie do nawrócenia na marksizm, znaczyło przyjąć możliwość wywózki i śmierci w łagrze Workuty czy Kołymy. Tak działo się w Wilnie, inaczej to ułożyło się w Krakowie, ale przecież nikt nie wiedział, jak będzie"[1]. To za katolickość „Tygodnik" był atakowany najdotkliwiej.

K.K. Ja bym się nie zgodził z Miłoszem. Katolicyzm jednak nas ratował. Kościół polski roztaczał parasol ochronny nad „Tygodnikiem" i dzięki temu pismo mogło funkcjonować. Choć, jak mówił Jerzy: „»Tygodnik Powszechny« jest pismem katolickim, które działa w różnych sferach: w polityce, w kulturze, w sprawach społecznych i w ekonomii. Nigdy nie byliśmy formalnie i nie będziemy organem Kościoła. Jesteśmy grupą katolików, świeckich i księży, działających na własną odpowiedzialność, ale w służbie Kościołowi".

Należy jednak zwrócić uwagę na to, że etykieta „katolicki" groziła w Polsce zawsze – bez względu na ustrój – pewną izolacją. Katolicyzm był czymś powszechnym, lecz w dziedzinie kultury oznaczał getto. Grupka pisarzy, dziennikarzy katolickich nie należała do elity – wystarczy przypomnieć sobie okres dwudziestolecia. Życie kulturalne, literackie, dziennikarskie toczyło się jak gdyby obok. Kultura była świecka. Nie antykościelna, nie wojowała z Panem Bogiem, ale etykieta „katolik" przeszkadzała; wydawało się, że ogranicza. Nie wykształciły się właściwie czasopisma katolickie – no może „Verbum" w Laskach, ale miało niewielki wpływ na opinię publiczną. Natomiast komuniści sprawili, że świat za ich plecami, świat katolicko-pozytywistyczny się zjednoczył. Ludzie pobożni i niedowiarkowie nagle znaleźli się obok siebie. Pamiętam zebranie w latach sześćdziesiątych, które w tym pomogło (opisywał je później w swoich *Dziennikach* Stefan Kisielewski). To było w okresie, gdy pierwsza pula literatów opuściła z hukiem PZPR. Na znak protestu po usunięciu z partii profesora Leszka Kołakowskiego, swoje legitymacje członkowskie złożyli między innymi: Igor

[1] „Tygodnik Powszechny" 1997, nr 51–52.

Neverly, Julian Stryjkowski, Wiktor Woroszylski, Wisława Szymborska, Kazimierz i Marian Brandysowie. Po tym zdarzeniu Turowicz zaprosił tych pisarzy na warszawski Nowy Świat, gdzie mieliśmy pokój gościnny do wykorzystania, gdy przebywaliśmy w Warszawie. I właśnie tam Jerzy wyraził swoje uznanie dla ich odwagi i determinacji, i zaproponował współpracę z „Tygodnikiem". Jak się dziś przyglądniemy, to byli najwybitniejsi pisarze lat sześćdziesiątych, siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Wszyscy wówczas jednomyślnie krzyknęli, że się nie dadzą zaetykietować w tygodniku katolickim, że czują w tym jakiś fałsz. I że przy całym szacunku dla „Tygodnika", uznaniu dla Turowicza – nie chcą bezpośredniej współpracy. A przecież nie oczekiwaliśmy od nich wyznania wiary ani żadnych deklaracji światopoglądowych. Mimo że znaleźli się w trudnej sytuacji osobistej, często nie mieli z czego żyć – nie byli zainteresowani. Pamiętam, że ukuli taką formułę, iż „Tygodnik" powinien mówić ich głosem, reprezentować ich na zewnątrz. Nie oni w „Tygodniku", a „Tygodnik" jak gdyby za nich… Krótko mówiąc, te światy były od siebie odległe. To nie jest kwestia komunizmu, przynajmniej nie tylko. Sytuacja ta uległa zmianie po 1968 roku; była już inna w latach siedemdziesiątych, kiedy powstawał KOR. Ewolucja bez precedensu w kulturze polskiej. Po paru latach na łamach naszego pisma pojawiły się teksty Jerzego Andrzejewskiego, Adama Ważyka, Mieczysława Jastruna, Wiktora Woroszylskiego czy Pawła Hertza.

Na początku lat trzydziestych „Wiadomości Literackie" zamieściły cykl karykatur autorstwa Jerzego Zaruby. Przedstawiały maksymalnie nieprawdopodobne zakończenie żywota prominentnych polskich twórców. Puenta musiała być zaskakująca. Antoni Słonimski (piszący dla „Wiadomości") został narysowany pod obrazem Matki Boskiej Częstochowskiej...

J.P. Wtedy to musiało wydawać się nieprawdopodobne.

K.K. Tak, wtedy wydawało się niemożliwe. A tenże Antoni Słonimski – antyklerykał i liberał – w 1971 roku stał się felietonistą „Tygodnika", naszym wiernym współpracownikiem. Jego ostatni felieton, urwany w pół zdania, był pisany dla nas... Miał go skończyć po powrocie z Konstancina. Nie zdążył. W drodze powrotnej zginął w wypadku samochodowym[2].

[2] Antoni Słonimski zmarł na skutek obrażeń odniesionych w wypadku samochodowym 4 lipca 1976 roku.

J.P. Antoni Słonimski jest autorem zdania, które lubi pan powtarzać, gdy mowa o dylematach i wyborach redaktorów z Wiślnej. O co wam szło?

K.K. „Prawie o nic – pisał Słonimski. – Żeby zbyt łatwo nie zgiąć karku". Nasze dyskusje w PRL wciąż krążyły wokół pytania: co to znaczy „zbyt łatwo"?

J.P. Kiedy rozpoczął się proces zbliżania środowiska inteligencji katolickiej z laicką?

K.K. Początki tej ewolucji to czas okupacji niemieckiej. Już wtedy dokonało się pewne zbliżenie lewicy laickiej, fantastycznej polskiej inteligencji z katolikami. Lewica laicka to nie byli ateiści. Oni nie walczyli z Panem Bogiem, ale jednocześnie na tym poprzestawali. Szukanie Absolutu ich nie zajmowało. Podczas okupacji ta grupa odkryła, że z katolikami można rozmawiać i że ten kontakt jest całkiem interesujący. Zresztą w książce Adama Michnika *Kościół, lewica, dialog* świetnie widać, jak te światy się do siebie zbliżały. Ale to była ewolucja bardzo powolna i – jak mówiłem – bez precedensu w Polsce. Na łamach „Tygodnika" te środowiska zaczęły przełamywać wzajemne uprzedzenia.

W latach osiemdziesiątych Kościół roztaczał opiekę nad kulturą niezależną. Parafie, zakony były miejscem spotkań, spektakli, dyskusji, jedynym miejscem, gdzie można się było schronić. Wiadomo – jak trwoga to do Boga. Artyści o różnych przekonaniach zobaczyli, że ktoś się o nich troszczy. Turowicz był tym człowiekiem, który światy tak zwanych twórców niezależnych i ludzi Kościoła próbował zbliżyć, ułatwić nawiązanie kontaktu. On uważał, że dla kultury polskiej, ale i dla chrześcijaństwa, jest rzeczą ważną, by się spotkały. I nie chodziło o to, by kogokolwiek nawracać.

Na Kongresie Kultury Polskiej w grudniu 1981 roku, przerwanym przez stan wojenny, ta polska wspólnota kulturalna była już daleko posunięta. Zawdzięczamy to właśnie Jerzemu Turowiczowi. Jego inicjatywom, jego dobrej woli, uporowi. Ludzi przekonywać, nie nawracać za wszelką cenę, ale stwarzać wspólne pole działania – dla niego ten argument był najważniejszy.

Zresztą warto przypomnieć, że Jerzy często ujmował się za ludźmi kultury, których głos próbowano zdławić. Gdy Ewę Szumańską wyrzucono z radia po weryfikacji w stanie wojennym, Turowicz zaproponował jej, by coś dla nas napisała. I zaczęła pisać miniatury dla „Tygodnika". Kiedy w 1968 roku, po aferze z *Dziadami* Artur Międzyrzecki odważnie wystąpił na zebraniu Oddziału

Warszawskiego Związku Literatów Polskich i został pozbawiony możliwości drukowania w państwowych pismach, Jerzy poprosił go o wiersze, które wydrukował w „Tygodniku" natychmiast. Taki miał styl.

J.P. Żona Międzyrzeckiego – Julia Hartwig, wspominając po latach ten gest Turowicza, napisała: „Można by tu strawestować zdanie Przełęckiego z *Przepióreczki*: »Bo takie były jego obyczaje«".

K.K. Jerzy był człowiekiem, dla którego kultura – szczególnie literatura – była czymś ogromnie ważnym. I jej wartości autonomiczne. „Tygodnikowym" twórcom zostawiał pełną swobodę. Nie gorszył się, nie dziwił się, ale też chciał, żeby wszyscy ludzie w obrębie działalności kulturalnej mogli się spotykać. I co najmniej wymienić poglądy. Co najmniej.

Celność jego artystycznych wyborów, wyczucie w dziedzinie kultury jest zadziwiające. To nie przypadek, że przyjaźń łączyła go z Czesławem Miłoszem, Zbigniewem Herbertem, Stanisławem Lemem, Julią Hartwig czy Wisławą Szymborską…

J.P. Po przyznaniu Jerzemu Turowiczowi (w 1994 roku) Orderu Orła Białego, ale też w czasie wzmożonych ataków na niego, Wisława Szymborska przesłała przyjacielowi kartkę. Na niej: błękitne niebo, a pod nim wzburzone morze. Na jednej z fal doklejona przez poetkę świeca i słowa: „Kochany Jerzy! Cieszę się tym, co na Twojej piersi zawisło! Przy okazji zrobiłam Twój symboliczny portret – przyjmij go! Wisława. P.S. Morze powinno być bardziej wzburzone, ale nie znalazłam odpowiedniej fotografii".

Z Julią Hartwig i jej mężem Turowicz spotykał się często zarówno w Polsce, jak i za granicą. Gdy nie mogli się zobaczyć, prowadzili ożywioną korespondencję. W 1971 roku naczelny „Tygodnika" pisał do tej pary poetów: „Wenecja cudowna, upał jak diabli, pełna po brzegi turystów, zwłaszcza całe tabuny *teenagers*, dosyć to było fascynujące, acz z forsą było krucho (jak to zwykle, nasi za granicą). Wróciłem śmiertelnie zmęczony (w Wenecji od rana do wieczora na nogach, a potem pociąg), ale nafaszerowany różnymi energiami intelektualno-duchowymi, z którymi nie wiadomo potem, co zrobić".

W 1973 roku z Londynu: „Oglądam Piccadilly i Soho (*by night*), zmianę gwardii pod Buckingham Palace, w niedzielę słucham mówców w Hyde Parku. Poza tym spotykam przyjaciół – Polaków i Anglików. Wygłosiłem odczyt (dla Polaków) o Maritainie, na najbliższy weekend wyskoczę do Szkocji, potem na tydzień do Irlandii (Dublin, nie Belfast!),

w międzyczasie skoczę do Oxfordu zobaczyć Leszka K. A poza tym co?? Śledzę z niepokojem wojnę na Bliskim Wschodzie, z nadzieją, że nie będzie z tego światowej draki. Nie muszę mówić, po której stronie są moje sympatie. Że Spiro Agnew wyleciał, to mnie nie zmartwiło. Bardziej się przejmuję sprawą Sacharow–Sołżenicyn. Czy zachód (tj. raczej zach. Europa) zdoła wymusić jakieś ustępstwa na Wielkim Bracie? Nie mam wielkiej nadziei, ale może chociaż coś...".

A w 1986 roku donosił: „Z moich spotkań rzymskich niezwykłe i niespodziewane: Czesio Miłosz, w drodze z Belgradu do Florencji na Congressus poetów. Spotkałem go szczęśliwie (bo mogliśmy się nie spotkać!), wypiliśmy niejeden kieliszek wina, Czesław b. był miły, przeczytał mi swoje nowe wiersze, a co najważniejsze, mogłem go zaprowadzić do Palazzo Apostolico do J.P. II na kolacyjkę! Bardzo było miło, rozmowa o poezji, Cz. rad, a gospodarz chyba też".

K.K. Talent i format osobowościowy tych poetów Jerzy odkrył na długo przed tym, jak stali się powszechnie cenionymi autorami. Wielokrotnie gościł ich na Lenartowicza, wielokrotnie też publikował w swoim piśmie. Na łamach „Tygodnika" drukowaliśmy zarówno *Tematy do odstąpienia* czy *Spiżarnię literacką* Czesława Miłosza, jak i słynne *Notatki z nieudanych rekolekcji paryskich* i *Pieśń o żołnierzach z Westerplatte* Konstantego Ildefonsa Gałczyńskiego. Zresztą Gałczyński w 1947 roku poświęcił naszej redakcji zabawne strofy... Podobnie Leszek Kołakowski, który na jubileusz pięćdziesięciolecia „Tygodnika" napisał o nim fraszkę.

Pamiętam, jak wybrałem się kiedyś z Jerzym do NRD (to był jego pierwszy wyjazd do naszych niemieckich sąsiadów, wcześniej nie miał powodów, by tam bywać). Będąc na miejscu, postanowiliśmy odwiedzić Galerię Drezdeńską – mogącą się poszczycić jedną z największych kolekcji malarstwa na świecie. Są tam dzieła mistrzów holenderskich, hiszpańskich, włoskich, niderlandzkich, francuskich. Jest między innymi *Ostatni cud* Botticellego, *Śpiąca Wenus* Giorgionego i *Grosz czynszowy* Tycjana. Przyznam, że byłem zdezorientowany, ponieważ galeria jest ogromna i nie wiedziałem, w którą stronę iść, co jest warte zobaczenia. By obejrzeć wszystko, trzeba by mieć o wiele więcej czasu (podobnie jak w Luwrze). Tymczasem, gdy wchodziliśmy do kolejnych pomieszczeń wystawienniczych, Jerzy mówił: „zatrzymajmy się przy tym obrazie". Jakimś cudem wiedział, co jest warte szczególnej uwagi.

J.P. Fascynował się malarstwem, ale muzyka czy film to też nie były dziedziny mu obce.

K.K. Tak, był na bieżąco z tym, co właśnie nakręcił Bergman, Antonioni czy Fellini. Często goście z zagranicy zapraszali go na seanse filmowe. No bo korespondenci zagraniczni, ambasadorowie, dyplomaci przychodzili do redakcji „Tygodnika" regularnie, by porozmawiać i zrozumieć, jak naprawdę jest w tym kraju nad Wisłą. Za gościnę chcieli się rewanżować, zapraszali więc Jerzego Turowicza na projekcje zachodnich filmów. Do tego typu spotkań towarzyskich w niewielkim gronie cenzura nie miała się jak przyczepić.

Na przykład Instytut Francuski w Krakowie wynajmował raz w miesiącu salę w kinie Młoda Gwardia (niegdysiejszym browarze). I tam Turowicz zapoznawał się z wyświetlanymi w języku francuskim filmowymi nowościami. Ja też bywałem na tych projekcjach wielokrotnie. W taki sam sposób Jerzy poznawał też filmy w innych językach. Bywał w ambasadach, konsulatach, instytutach (na przykład filmy anglojęzyczne oglądał w British Council w Warszawie). Dzięki temu był zorientowany. No, a gdy przebywał za granicą, to kina mógł odwiedzać do woli.

Dziś mówi się, że w PRL-u nie było możliwości, by śledzić na bieżąco to, co dzieje się w artystycznym nurcie światowego kina. A jednak okazuje się, że można było. Gdy spojrzy się do kalendarzy Jerzego, w których prowadził zapiski od lat trzydziestych, to człowiek ze zdumieniem stwierdza, że tam są notatki o tysiącach wydarzeń kulturalnych i spotkań towarzyskich. Oczywiście są krótkie, no bo ile się może zmieścić w takim kalendarzu. Jerzy odnotowuje, gdzie i u kogo odbyło się jakieś spotkanie, kto gdzieś przemawiał niezbyt mądrze albo jaki film zrobił na nim wrażenie. Ale też, gdzie piliśmy whisky (lubił ją, a w PRL-u to był towar trudno dostępny) i jaka piękna kobieta pojawiła się w gronie znajomych. Był wrażliwy na wszelkie przejawy piękna, kobiecego oczywiście też. W tej dziedzinie nieraz toczyliśmy spory, bo on wolał Marilyn Monroe, ja natomiast Brigitte Bardot czy Sophię Loren.

J.P. W jego wypadku wybór Monroe chyba łatwo da się wytłumaczyć, bo gdy spogląda się na fotografie młodej Anny Turowiczowej, widać na nich pełną wdzięku blondynkę. „Niebieskie, wielkie oczy; regularne, klasyczne rysy; ciemne blond włosy. Złocista cała. Piękna" – tak ją zapamiętała z tamtego czasu Danuta Szczepańska.

K.K. Ciekawa ta pani interpretacja…

J.P. Mówiliśmy nieco wcześniej o roli Jerzego Turowicza w zbliżaniu lewicy laickiej z katolikami. To, że nieufni do tej pory lewicowi intelektualiści wsłuchiwali się uważnie

w słowa naczelnego „Tygodnika", brało się chyba stąd, że orientowali się, iż Turowicz w swojej publicystyce nie stara się fałszować, pudrować rzeczywistości; że nie boi się wskazywać słabych stron Kościoła. Powstaje jednak pytanie: czy Turowiczowi udało się przekonać hierarchów i szeroką opinię publiczną, że krytyka tego, co złe w Kościele, nie musi płynąć z wrogiego stosunku do niego, ale – jak pisał – z miłości?

K.K. Tutaj spór, kłopoty były częste i poważne, ponieważ Kościół nie był przyzwyczajony do krytyki. Nie mógł zrozumieć, że ona może płynąć z dobrej woli, z zaangażowania w sprawy wiary, a nie z zewnątrz, jako akt wrogi. Kościół w tym sensie był podobny do partii komunistycznej, która też uważała, że najgorszą rzeczą jest krytykanctwo wewnętrzne. Bo to, że kapitaliści atakują komunizm, mało bolało, nawet było przydatne…

J.P. ...ale jak atakują swoi...

K.K. Właśnie. Ale jak swoi? Otóż, ten typ nieposłuszeństwa w Kościele nigdy nie był kultywowany – mówię o tendencji przeważającej. Zawsze uważano, że taka krytyka płynie z ingerencji Zachodu. Z fascynacji jego nonszalancją. A wiadomo, Zachód jest zgniły – taki stereotyp dość powszechnie obowiązywał. W związku z tym wszystkie flirty Turowicza i tego środowiska z francuskimi katolikami były podejrzane.

Jerzy uważał, że należy demaskować zło pochodzące od ludzi, którzy działają w Kościele lub w jego imieniu, wykazywać, że nie ma nic wspólnego z tym, czym Kościół jest naprawdę. Zdania na ten temat nie zmienił do końca życia.

J.P. W 1996 roku pisał: „Ludzie Kościoła na ogół bardzo nie lubią przyznawać się do błędów, w oparciu – jak się zdaje – o przekonanie, że skoro Kościół jest święty, to nie może błądzić. Dlatego też władze kościelne na ogół nie reagują na jakieś niefortunne czy nawet gorszące wystąpienia osób duchownych czy katolików świeckich, które idą na »rachunek« Kościoła. (...) Przyznanie się do błędu, wyraźne stwierdzenie, że dany czyn czy słowo ludzi Kościoła są ze stanowiskiem Kościoła niezgodne, zwiększają tego Kościoła wiarygodność"[3].

[3] „Więź" 1996, nr 3.

K.K. W czasach komunizmu bardzo trudno było się przebić z takim sposobem myślenia, raczej zbierało się cięgi za otwarte wyrażanie tego typu poglądów. Wtedy prawo do krytyki w Kościele, a szczególnie krytyki ze strony świeckich – nie istniało. Przecież laikat, świeccy w Kościele byli kategorią B. To był gorszy Kościół.

J.P. Inteligencja katolicka zżymała się, że w Polsce pielęgnowany jest katolicyzm niepogłębiony, ludowy. Na tym tle dochodziło do nieporozumień środowiska tworzącego „Tygodnik Powszechny" z prymasem Stefanem Wyszyńskim, który był zdania, że ludowa religijność jest siłą polskiego Kościoła. Mówił, że w trudnych momentach inteligencja zawodziła Kościół, a lud przy nim trwał.

K.K. Trudno było, będąc w Kościele, mówić, że trzeba coś zreformować. Wszystkie propozycje zmian wywoływały podejrzliwość, nie były dobrze widziane. Dlatego Turowicz miał ciężkie życie w tym sensie. Ale prymas Wyszyński autentycznie go kochał.

Powtarzam zawsze z uporem, że Jerzy był jedynym człowiekiem na świecie, który mógł przy Wyszyńskim zasnąć. A prymas wszystkich stawiał na baczność. Otóż, rzecz się działa w Rzymie w latach sześćdziesiątych. Jerzy, zaraz po przylocie z Polski, wybrał się do prymasa – byli umówieni, mieli sobie coś wyjaśnić. Gdy istotne kwestie zostały omówione, a atmosfera zrobiła się serdeczna, prymas zaczął szczegółowo przedstawiać swoje poglądy na temat gospodarki peerelowskiej. To był czas Soboru, Jerzego fascynowały raczej spory dotyczące miejsca świeckich w Kościele, a niekoniecznie komunistyczna gospodarka… No i stało się. W czasie rozmowy w cztery oczy Turowicz po prostu zasnął.

J.P. Musiał się czuć bezpiecznie.

K.K. Tak jest. Jerzy potem mówił: „No nie, może się tylko zdrzemnąłem"… To zdarzenie pokazuje ich wzajemne stosunki. Wyszyński miał wiele pretensji do Turowicza w sprawach wiary i nie tylko, a równocześnie okrył go kocykiem i uznał, że pewnie był zmęczony, więc niech się prześpi.

Ci, którzy się powołują na Prymasa Tysiąclecia, niech mi pokażą drugiego, który by potrafił zasnąć w jego towarzystwie. Ja nie twierdzę, że to najlepsza metoda rozmowy… Ale ten przypadek pokazuje ich niesłychanie bliską relację.

Mimo upomnień, mimo wszystkich sporów. Zresztą Jerzy mówił: „Mogliśmy się z nim [kardynałem Wyszyńskim] czasem nie zgadzać, może nawet czasem racja była po naszej stronie, ale równocześnie odnosiliśmy się do niego z ogromną czcią i przywiązaniem. Byliśmy świadomi jego wielkiej, historycznej roli".

Turowicz przecież spierał się o Kościół również z Janem Pawłem II – wcześniej biskupem, arcybiskupem, kardynałem Wojtyłą. Ich korespondencja była w dużej mierze drukowana, i widać w niej spór. Można wyciągnąć wnioski, że „Tygodnik" był zawsze wrogo nastawiony do Kościoła, że walczył z Karolem Wojtyłą. Można mówić, iż jest nieprawdą, że Jan Paweł II czuł się związany z „Tygodnikiem". Że publikował w „Tygodniku", że go czytał, że przyjaźnił się z jego redaktorami, bo przecież napisał w 1995 roku zdanie...

J.P. Słynne zdanie.

K.K. Najsłynniejsze. Że Kościół po 1989 roku „nie czuł się dość miłowany" przez „Tygodnik". Nic innego, co napisał, się nie liczy.

Spór między Karolem Wojtyłą a Jerzym Turowiczem istniał. I chwała im obu, że byli w stanie w tak elegancki sposób dyskutować. Proszę przeczytać, jaka jest klasa tego sporu. On był bardzo istotny i głęboko sięgający. Chodziło o to, streszczając, czy prasa katolicka, media katolickie powinny przede wszystkim formować – jak chciał biskup, arcybiskup, kardynał, papież. Czy przede wszystkim informować, a na podstawie tych informacji skłaniać człowieka, by zaczął myśleć samodzielnie, wyciągać wnioski. Prasa ma pomagać człowiekowi, stawiać mu pytania – tak uważał Jerzy. Nie uspokajać sumień czytelników, czasem zasiać niepokój, by ludzie mogli pewne sprawy, swoją wiarę przemyśleć na nowo. „Tygodnik" – przynajmniej ten Turowiczowski – nigdy nie chciał być gotową receptą na wszystko; raczej skłaniać człowieka do myślenia. Bo to, że ktoś przeczyta coś i powtórzy potem, ma niewielkie znaczenie. Natomiast, jeżeli przeczyta, pomyśli i sam dojdzie do pewnych konkluzji, jest ważne i w ogóle najważniejsze. Jeśli się zastanawia, czegoś wciąż nie jest pewien – to bardzo dobrze, bo znaczy, że szuka. Boję się ludzi, którzy nigdy nie mają wątpliwości. Czasem trudno człowiekowi sformułować pytanie. A bez niego ciężko znaleźć odpowiedź. Trzeba zacząć od precyzyjnego pytania. I takie pytania „Tygodnik" starał się zadawać czytelnikom. Czasami mówił: my uważamy tak, ale ty, czytelniku, myśl sam. Nawet u Jana Pawła II to nie znajdowało pełnej akceptacji. Co nie umniejsza wielkości obu dyskutantów.

J.P. Dziś słowo „spór" jest odczytywane jako kłótnia z brakiem poszanowania dla rozmówcy.

K.K. Ten płaski, zupełnie głupkowaty sposób patrzenia na różnicę między ludźmi, na dyskusję do niczego dobrego nie prowadzi. Uważamy, że jak ktoś się z kimś spiera – to jeden jest dobry, a drugi zły. Bo inaczej być nie może. Otóż relacja Wojtyła–Turowicz była żywym dowodem, że może być inaczej.

J.P. Gdy polscy biskupi ogłosili słynny list do biskupów niemieckich, kończący się słowami: „Przebaczamy i prosimy o przebaczenie", „Tygodnik" zdecydował się otwarcie poprzeć tę inicjatywę. Jerzy Turowicz otrzymał wówczas od władz zaproszenie na posiedzenie Ogólnopolskiego Komitetu Frontu Jedności Narodowej[4]. Jak to było z naradą przed obroną tego listu? Ponoć spotkanie poprzedzające wyjazd Jerzego Turowicza do Warszawy odbyło się u pana.

K.K. Może u mnie. Narad było tyle, że mogła się odbywać u Andrzeja Bardeckiego, u Zofii Starowieyskiej-Morstinowej, u Stommy, u mnie… Ale rzeczywiście, z Warszawy przyjechali wówczas Stomma, Kisiel i Bartoszewski. Uważaliśmy, że żaden kompromis z władzą nie jest w tej sprawie możliwy.

J.P. Ksiądz Andrzej Bardecki wspominał: „O wpół do drugiej w nocy Turowicz krótko podsumował: »Wiem trzy rzeczy: muszę pojechać do Warszawy; muszę wygłosić przemówienie; muszę bronić listu Episkopatu. Wolałbym dostać zawału i nie jechać do Warszawy«. Zdawaliśmy sobie sprawę, że po wystąpieniu Turowicza »Tygodnik« może być powtórnie zamknięty, tym razem definitywnie. Na szczęście tak się nie stało".

K.K. Baliśmy się o „Tygodnik", bo uderzenie poszło w Kościół, w hierarchię. A hierarchia była rękojmią dla „Tygodnika". Oczywiście, że to musiało skończyć się źle. Ale obrona tego gestu pojednania była dla nas rzeczą naturalną. Oczywiście wiedzieliśmy, że to jest ryzykowny krok, psychologicznie ryzykowny. Ogromna część Polaków tak krótko po wojnie nie doceniała wagi tego gestu.

[4] Front Jedności Narodu (FJN) – ruch społeczno-polityczny powstały z inicjatywy PZPR; w jego skład wchodziły partie polityczne, związki zawodowe i oficjalnie działające ruchy społeczno-polityczne; miał silny wpływ na wybór kandydatów do Sejmu i rad narodowych.

W tej sprawie bardzo łatwo było komunistom grać propagandowo, że tak powiem. No bo Niemcom przebaczać? Prosić o przebaczenie? Arcybiskup Kominek zredagował ten dokument, prymas go zaakceptował, kościelni hierarchowie podpisali – i tak to poszło. Ten list wydawał się czymś niesłychanym, zupełnie odmiennym od tego, co Polacy słyszeli przez lata. Przebaczenie nawet dla porządnych chrześcijan było wtedy czymś trudnym.

J.P. Turowicz mówił, ile go kosztowało przemawianie do wrogiej publiczności na posiedzeniu Frontu Jedności Narodowej?

K.K. Jeżeli pierwszy sekretarz partii publicznie, przy wszystkich możliwych ówczesnych mediach, wytyka kogoś palcem i imiennie atakuje, to według ówczesnych reguł gry był to koniec kariery tego człowieka. Było jasne, że jest przeznaczony na odstrzał. Władysław Gomułka krzyczał z trybuny: „Sprawa nie polega na tym, redaktorze Turowicz, że my przeciwstawiamy 1000-lecie chrztu i 1000-lecie państwa. Sprawa polega na tym, że Episkopat, a szczególnie kardynał Wyszyński, chce przeciwstawić 1000-lecie chrztu – Polsce Ludowej". Turowicz rzeczowo i spokojnie starał się wyjaśnić stanowisko w tej sprawie. Niewzruszony, wysłuchał mnóstwa obelg. Gomułka mówił wtedy rzeczy, które brzmiały jak wyjęte z literatury science fiction: że polscy zwolennicy pojednania razem z Niemcami występują przeciwko Wschodowi... Nie znam drugiego przypadku tego typu ataku na publicystę. Choć… podobny powtórzył się w 1968 roku po interpelacji koła „Znak". W Sejmie przez dwa dni dokonywano linczu politycznego w stosunku do tego koła.

J.P. Ale koło wyszło z opresji cało.

K.K. Tak, choć tego wtedy nie można było przewidzieć. Byłem wówczas korespondentem „Tygodnika" z Sejmu i słyszałem, jakie inwektywy sypały się z trybuny sejmowej. I ta peerelowska mowa-trawa… Przedstawiciele władz pytali: „Co oznacza dziś, po agresji Izraela na kraje arabskie, sojusz pewnych, polskich, katolickich kół z syjonizmem legitymizującym się przymierzem z imperializmem amerykańskim i siłami odwetowymi NRF?". To był czas niebywałej nagonki antyinteligenckiej i antysemickiej. Milicja za pomocą siły spacyfikowała wiec na Uniwersytecie Warszawskim. Mieliśmy poczucie, że trzeba zaprotestować.

Ale jak? Jerzy pojechał do Warszawy i wraz z kolegami z koła „Znak" zredagował interpelację do premiera Cyrankiewicza.

J.P. Napisali wówczas: „Do głębi przejęci wypadkami w dniach 8 i 9 marca, w trosce o spokój w naszym kraju, w skomplikowanej sytuacji międzynarodowej, oraz w trosce o właściwą atmosferę dla wychowania i kształcenia młodzieży (...) zapytujemy:

1. Co zamierza Rząd uczynić, aby powściągnąć brutalną akcję Milicji i ORMO wobec młodzieży akademickiej i ustalić odpowiedzialność za brutalne potraktowanie tej młodzieży;

2. Co zamierza Rząd uczynić, aby merytorycznie odpowiedzieć młodzieży na stawiane przez nią palące pytania, które nurtują także szeroką opinię społeczną, a dotyczą demokratycznych swobód obywatelskich i polityki kulturalnej Rządu?".

K.K. Ostatecznie wyszliśmy cało z tej sytuacji, choć zapowiadało się nieciekawie.

Turowicz, jako lider naszego środowiska, wiele zniósł. Zresztą on w ogóle wiele zniósł w życiu… Lech Wałęsa też go publicznie wywoływał, koncentrował na nim swoją wściekłość w czasie „wojny na górze" – konfliktu pomiędzy działaczami wcześniejszej opozycji antykomunistycznej, między Wałęsą a rządem Tadeusza Mazowieckiego.

J.P. Temperatura tamtego starcia była wysoka.

K.K. Jerzy zachował spokój. Potem delikatnie, jak to miał w zwyczaju, w tekście *Po rozłamie w Komitecie Obywatelskim* napisał: „W przyszłości nie będzie podręcznika historii Polski, który mógłby pominąć nazwisko Lecha Wałęsy. Wolno pragnąć, by te podręczniki mogły o Lechu Wałęsie mówić tylko dobrze, jako o tym, który budował, a nie burzył". Po sześciu latach Wałęsa przyjechał do redakcji i przeprosił Turowicza.

J.P. Stwierdził jednak, że polityczna racja była po jego stronie.

K.K. Przyszedł i przeprosił. Przeprosiny nie oznaczają całkowitej zmiany stanowiska, wycofania się. Nikt tego nie oczekiwał od Wałęsy. Przyszedł do redakcji i powiedział: „Przepraszam pana". Czego można chcieć więcej?